

Relacja z P. Anną Cegłowska z d. Kakaluk przeprowadzona w Lublinie w dniu 20 listopada 1990 roku przez Dariusza Marciniaka.

Nazywam się Anna Cegłowska z d. Kakaluk. Urodziłam się w 1931r. na Wołyniu. Mieszkaliśmy z rodziną w gajówce, gdyż ojciec był gajowym. Miałam 5-cio rodzeństwa. We wrześniu 1939 roku nasz teren zajęli sowieci. Zaraz na drugi lub trzeci dzień nocą przyszło do nas NKWD i nas aresztowało. Nie pamiętam daty, wiem tylko, że panowała wtedy zima i było już po święcie Bożego Narodzenia. Miałam wtedy 8 lat. Przyszli do nas w nocy, nie dali nam nic zabrać ze sobą, musieliśmy się szybko zbierać. Tylko dzieciom rodzice wzięli poduszkę i pierzynę, by nas przykryć na wozie, panował taki mróz, że inaczej nie dało się nas zabrać. Zawieziono nas na stację do Kamienia Koszyńskiego. Załadowano tam nas do bydzących wagonów kolejowych. Nie dano nam ani wody, ani nic do jedzenia. Było bardzo zimno. W wagonach było ciasno, ponieważ włączono nas ilu się tylko dało. Wagony zostały zamknięte i zaplombowane. Na stacji staliśmy bodaj ze trzy dni, zanim nie sformowano całego transportu. Na zesłanie jechaliśmy ok. miesiąca. W podróży nie dostaliśmy wody, zmuszeni byliśmy do czerpania śniegu wiaderekami, aby zrobić coś do picia, panowało wszechogarniające zimno, żołnierze nowybiłali nam kratki. Nie dawano nam również, chleba, jedliśmy to zdołaliśmy zabrać z domu. Po paru dniach dopiero, dano nam trochę węgla i wody. Po podróży trwającej ponad miesiąc, wreszcie dojechaliśmy do miejsca przeznaczenia. Nie pamiętam już, gdzie nas wyładowano. Okazało się, że to jeszcze nie koniec podróży. Załadowano nas na furmanki (sanie). Przez ten okres byliśmy pod specjalnym nadzorem NKWD. Ja z rodzeństwem tj. z siostrami Olą i młodszą Janiną i Matką jechaliśmy na saniech przykrytych plancką, ojciec z bratem podawali obok pieszo. Panował ogromny mróz, wszystko pozamarzało, że tylko oczy było widać. Brezent jak wstawaliśmy był pokryty warstwą mrozu grubości ok 30 cm (D.M.) W czasie podróży moja siostra przeziębila się, na piersi jej powstał wrzód. Noclegi były przygotowane na stanicach, przeważnie po starych cerkwiach. Zastawaliśmy napalono w piecach, gorącą wodę i dostawaliśmy trochę chleba. Po dwóch tygodniach dojechaliśmy wreszcie na miejsce. Zwalili nas do długiego baraku. Byli tam jacyś Rosjanie, podejrzewaliśmy, że byli to jacyś skazani popi bo ciągle się modlili. Po dwóch dniach dzieci zostały oddzielone od rodziców. Chodziło im o dzieci w wieku szkolnym (młodsze dzieciaki pozostały z rodzicami). Zabrano również i mnie. Zawieziono nas do szkoły, zakwaterowano w jakimś budynku przypominającym cerkiew. Były tam postawione łóżka i dostawaliśmy jedzenie. Dzień spędzaliśmy w szkole wraz z ruskimi dziećmi, realizując rosyjski program



nauczania. W dzień można było wytrzymać, lecz nocą dzieci chciały do rodziców. Uciekaliśmy bardzo często. Gonili nas na koniach po tym śniegu i zawracano do miejsca zakwaterowania. Jak ktoś zboczył z drogi to wpadał po szyję w zaspy śniegu. Pomimo, że traktowano nas w tej szkole dobrze ciągle uciekaliśmy, tak że do tej szkoły nikt z nas nie chodził. Po kilku razach dano nam spokój i pozostawiono w domu z rodzicami.

W baraku o którym już wspominałam mieszkaliśmy do wiosny. Wiosna rozpoczynała się tam pod koniec maja. Tam jest zima, zima a reszta to 3 miesiące trwające lato. Wtedy to starsi w tym nasi rodzice zaczęli budować domy do tej pory mieszkaliśmy wszyscy w jednym dużym baraku. Dookoła nas rozciągał się las i las niedaleko nas płynęła mała rzeczka. Po wykończeniu domów, wxx do których powprawdzało się po dwie, trzy rodziny, zaczęło się normalne życie. Razem na tym miejscu odosobnienia przebywało od 15 do 30 rodzin. Przebywaliśmy w Archangielskiej obłastii, Hołmogorskiego rejdnu w miejscowości, która nazywała się chyba Uspinga.

Moi rodzice i brat Bazyli pracowali w lesie. Brat miał wtedy 16-lat. Kto pracował dostawał 600 gr chleba. Ten kto nie pracował (był obowiązkiem pracy) i dzieci dostawał 400 gr. Latem wyrębywali drzewo, ociosywali, wozili do rzeki, i jeź spławiali. Rzeka ta była jedyną drogą komunikacyjną. W uspińdze umarła mi młodsza siostra mająca 3 lata ~~XXXXXX~~ Janina. Nie było lekarza aby jej pomóc. Siostra umarła chyba 10 maja. Nawet nie pozwolono jej zawiść na cmentarz znajdujący się gdzieś w pobliżu. Mówili nam "Wy chcecie Polszy, wasze ucho i chłbas nie uwidit Polszy. Waszej Polszy już nie budiet." Odnoszono się do nas nieprzychylnie, traktowano nas jak więźniów, rodzice i brat chodzili do pracy pod strażą. Warunki były straszne zimą straszny mróz, latem plagą były meszki. Taka czarna, mała a wciskała się w oczy usta, tak, że trzeba było zawiązywać na twarzy gazę, by się przed nią ochronić. Myśmy jako dzieci chodziliśmy do lasu, aby zbierać lasu, nie pilnowali nas, jak jeszcze chodziliśmy do szkoły to mogliśmy się spotykać z rosyjskimi dziećmi.

Rodzice nawet zimą codziennie szli do pracy. W zimie ich praca polegała na ścinianiu drzew i dostarczaniu jej na brzeg, gdzie układane było w specjalne sztable, gdzie czekały na lato i na spław rzeką. Aby sobie ułatwić transport drzewa z lasu na brzeg robiono coś na kształt kolejek. Kolejny san był wylewany wodą i tworzyły coś na kształt torów, po nim sanie łatwiej się poruszały.

Na drugi rok pobytu na wiosnę nie było już co jeść. Nawet nie starczało żywności na ~~XXXXXX~~ na wydanie zarobionych codziennych norm. Jedyną zmianą było to, można było już opuścić dotychczasowe miejsce pobytu. Nasza i parę innych rodzin postanowiło skorzystać z tej możliwości, ale nie wszyscy, chyba bali się utonięcia w nurtach rzeki i tego co może ich czekać. Niedowierzano Rosjanom. Opuszczaliśmy naszą miejscowość na tratwie przez nas zbudowanej, zbitej po prostu były to zbite bale, na których postawiono szakasaby dzieci w czasie deszcz mogły się schować. Tratwami płynęło ok. 4-5 rodzin. Płyneliśmy cały dzień, wieczó



rami przybijaliśmy do brzegu, szliśmy w głąb lasu w poszukiwaniu żywności. Uspingą tj. rzeka nad, którą znajdował się nasz pierwszy obóz wpadała do innej rzeki, a ta do tiero do Dwiny. Otrzymaliśmy zezwolenie do osiedlenia się nad tą drugą rzeką, korzystając z tego, że nikt nas nie zatrzymywał, dotarliśmy nad Dwinię. Tam nas zatrzymano i nie pozwolono dalej płynąć. Zatrzymaliśmy się w obozie gdzie znajdowali się inni Polacy w Wardzie. Leżała ona w odległości ok. 120 km od Archangielska. Rzeką Dwina jest bardzo duża, w niektórych miejscach jej szerokość przekracza 1 km. Zakwaterowano nas do baraków. Trafiliśmy do rodzin, dwóch braci Niebrzegowskich. Mieszkało nas w niedużym pokoiku /3x4m/ we trzy polskie rodziny, każda w swoim kącie. U Niebrzegowskich było dwóch chłopców Heńiek i Telek u drugiej rodziny jego brata Benek i Gienia /miała ok 16 l/. Dopiero w Wardzie poznałam co to prawdziwy głód. Ok. 10 maja zmarła mi druga siostra Ola ta, która miała ten wrzód, musiały chyba zostać zaatakowane płuca do tego brak żywności. W 10 dni później umarła mama. Wtedy to już panował okropny głód, głód nie do opisanie. Ojciec dostawał jako pracujący 600 gr chleba mama póki żyła 400 gr, a my dzieci tylko 200 gr. Była tego tylko jedna nieduża kromka taki był ciężki pewnie z domieszką kukurydzy. Wardę nawiedziła wtedy plaga myszy i szczurów, atakowały one magazyny. Tam chyba były trute. Wyrzucano je w takich wielkich skrzyniach na brzeg rzeki, na mrozie one zamarzały. My takie zamrożone zabieraliśmy do domów, zdzieraliśmy z nich tylko skórę i gotowaliśmy. Tak przygotowane spożywaliśmy. Jadał je cała ludność Wardy tj. wszyscy Polacy. Poza tym łapaliśmy psy, one też służyły nam jako pokarm. Jedliśmy co popadło. Wszyscy szukali, co by można było ukraść do jedzenia lub do wymiany na żywność. Brata mojego przy próbie kradzieży złapali. Poszli w większej grupie On, Telek Niebrzegowski, Morawski i Maik Antoni. Poszli chyba ukraść ziemniaki do kołchozu, lub na przystół gdzie przybijały statki. Złapano wówczas dwóch, reszta uciekła, lecz rozpoznano ich ponieważ na co dzień tam pracowali. Nikt nie uciekał, ponieważ nie można było oddać się bez pozwolenia. Wyłapali wszystkich. Brata mego skazano na więzienie. Siedział na lewym brzegu w Archangielsku.

Z powodu głodu umierało bardzo dużo osób, całych rodzin. W niektórych liczących poprzednio 12 osób pozostawała 1. Pamiętam P. Niebrzegowska umierała, spuchła z głodu, piana jej się toczyła z ust. Męczyła się tak trzy czy cztery dni, wszyscy w baraku musieli się na to patrzeć my i jej dzieci. Umarłych zakopywano jak się dało i gdzie było miejsce. ~~Wtedy~~ Dla mojej mamy brat /jeszcze wtedy był z nami/ zbił jakąś skrzynię, zakopał gdzieś, nawet nie wiem gdzie. Ktoś inny ja wracał z pracy to ze zmęczenia w wycieńczeniu głodem zasnął i zamarzał. Nadal panował obowiązek pracy. Polacy głównie pracowali przy /zimą/ przy wykuwaniu z lodu zamrożonych kłód drewna, które nie zdażyło spłynąć latem. Była to bardzo ciężka praca. Nie dawano nam ubrań jedynie ci co pracowali dostawali co jakiś czas kufajki i walonki. Od pracy zwalnia tylko mroź powyżej

50 stopni. Do tej temperatury wszystkich wyganiano do pracy. Dzieci siedziały cały czas w domu. Mój ojciec pracował w Wardzie w kuchni, starał się mnie ratować, jak zobaczył jakieś numerki na zurę to je trzymał dla mnie. Wtedy to już nawet ~~xxx~~ zupy nie dawali dla wszystkich, tylko te 200 gr chleba o których wspominałam. Byłam wtedy bliska śmierci, wtedy bałam się już tylko z ojcem, męczyła mnie krwawa dezynteria. Pamiętam zachciało mi się śledzi. Ojciec nawybierał mi takich małych, choćmu odradzano, mówił, że "niech przed śmiercią się biedactwo naje". Zjadłam je wszystkie z ościemi ze wszystkim. Musiały mi pomóc bo poczułam się lepiej i natychmiast wyzdrowiałam.

Wśród Polaków panowało wiele chorób. Wszystkich męczył skorbut. Mnie wszystkie zęby się ruszały, a ojciec, matka i brat to sobie sami wyjmowali zęby. /Po powrocie do Polski to jeszcze długi czas wyjmowałam sobie zęby, żadne leki nie pomagały/ Inną chorobą męczącą Polaków była kurzy ślepota. Próbowano to leczyć watrubkami. W ~~zaku~~ tym celu łapano wrony. Ja jej nie miałam, ale rodzice i brat na nią cierpieli. Szczególnie to przeszkadzało w pracy zimą gdy szybko zapadał zmrok. Aby wrócić do domu musiał jeden drugiego prowadzić. Nie było żadnych środków czystości, ani mydła, ani soli. Wszey garściami się wyjmowało, była plaga pluskwów.

Na północy w Wrznie, gdyby nie pomoc UNROWSA /delegatury-przypis D.M./ to by ani jedna osoba nie została. Była nam niezbędna do przeżycia. Dawali nam makę, tłuszcze i jaja w proszku. Poza tym dawano nam odzież. Mówili nam, że jest to pomoc z Ameryki. Dawali nam tłuszcz jak smalec biały, przychodził do nas w półmetrowych beczkach. To wszystko dzielił pomiędzy nas wybrany obozowy zarząd. Żywność dzielona była równomiernie pomiędzy wszystkie rodziny, na przychodzące ubrania ciągneliśmy losy. Tylko tej pomocy zawdzięczamy, że trochę nas przeżyło. Gdyby nie ona to chyba nikt by nie ocalał. Pomoc ta przychodziła wielokrotnie przez cały czas naszego pobytu w Wardzie, po naszym wyjeździe nie wiem do kiedy trwała. Potem gdy wyjechaliśmy nikt nas nie szukał. Pomoc ta nie była wystarczająca, głód nadal panował. Pomoc była cenna, lecz była niewystarczająca w stosunku do potrzeb.

Z ubrań dawali nam sukienki, buciki, futerka. Wadliwsze ubrania wymienialiśmy z rosjanami na żywność. Za nie otrzymywaliśmy trochę chleba, mleka. Słyszeliśmy, że istnieje gdzieś Ambasada, ale wiedzieliśmy, że jest ona daleko. O działalności delegatury w Archangielsku nic nie słyszałam.

Po pewnym czasie znów można było jechać gdzie kto chciał. Postanowiliśmy wyjechać. Popłyneliśmy /my i parę innych rodzin m.in. rodzina Maików/ statkiem do Wołógdy. Płyneliśmy chyba dwa czy trzy dni. Na statku tym tak mnie oblezły wszy, gdy spałam, wyjmowało się je z włosów garściami. Dojechaliśmy do miasta Uściuk, było to chyba miasto jakiegoś zakonu, bo były tam same cerkwie. Tam tataś jak mnie czesał, to na murewie aż się od wszy roziły. Nie było innego wyjścia musieli mi obciąć włosy. Wszy były wszędzie, poza oszewkami ubrań, zjadały nas żywcem.



Z Warty wyjechaliśmy na własną rękę. Wyjechaliśmy my, Maikowie. To było okropne, ciężko o tym pisać. Podio Zdżicho z rodziną. Ok 5 rodzin. Dojechaliśmy do okolicy Wołogodzkiej. Zatrzymaliśmy się z ojcem w jakimś kołchozie, jako jedyna rodzina polska, gdzie ojciec zgodził się pracować za samo utrzymanie. Mieszkaliśmy na prywatnej kwaterze. Jak powstała LDP, to tatusia powołał do wojska. Sam nie chciał iść, lecz został zmobilizowany. Ja pozostałam w kołchozie sama. Mnie nie zechcieli zabrać, ba byłam za mała, zresztą nie wiem, dlaczego, bo mogłam pracować w kuchni. Tatus bardzo prosił, aby pozwolono mu mnie zabrać ze sobą, mówił, że tylko jedno dziecko pozostało mu z całej rodziny, chciał, żebym z wojskiem szła do Polski do swoich. Nie zgodzili się, zostałam sama. Zamiastem, nocowałam wtedy na płocie, całą noc płakałam, ale trudno co było robić, musiałam się z zaistniałą sytuacją pogodzić. W kołchozie musiałam pracować. Dali mi konia i kazali iść w pole. Pracowałam wraz z rosyjskimi dziećmi, bo w kołchozie brakowało dorosłych. Nie, nie oraliśmy, ale wykonywaliśmy inne lżejsze prace jak bronowanie. Zajmowaliśmy się również transportem towarów. Tam odnalazł mnie brat, który wyszedł z więzienia. Było to wiosną, pracowaliśmy wtedy przy sianie. Teren ~~kołchozu~~ okolicy był cieplejszy, były tam lasy, ale nam nie kazano tam pracować, były też łaki i pola uprawne. Przede wszystkim było cieplej. Tam również dawali nam tylko po 200 gr. chleba. Brata skierowano do pracy przy sianie, wydzielano mu ile ma zrobić. Pewnego dnia u gospodyni u której mieszkaliśmy wydarzyła się kradzież, ~~xxix~~ posadzono mojego brata. Trzeba wiedzieć, że do pracy chodzili wszyscy. Drzwi domostw nie były w tym czasie zamknięte, moja gospodyni zajmowała się hodowlą cieląt. Wyszła z domu pozostawiając w drzwiach miotłę w drzwiach, że niby ktoś jest. Wtedy ktoś przyszedł i ją okradł. Zabrano jej jakieś stare przedwojenne buty i jakąś kurtkę. Posadzono o kradzież mojego brata, ponieważ dopiero co wrócił z więzienia. Na drugi czy trzeci dzień przyjechało NKWD i go zabrało. Chyba go po drodze w lesie rozstrzelano. Powiedziano mi, że on nie idzie do więzienia, lecz ma skierowanie do wojska, ale chyba tam nie dotarł, ponieważ nie napisał ani do mnie, ani do ojca, obiecał nawet, że zaraz napisze z drogi. Nie miała nigdy od niego więcej informacji. Chciałam go nawet odprowadzić, ale NKWudzista powiedział, że bym do nie odprowadzała, że tam już na niego czekają. Tatus jak był w wojsku to starał mi się pomóc. Zamieniał pieniądze i mi je wysyłał. Pani u której mieszkalam załatwiała mi za nie mąkę w ilości 10-15 kg. Na jakiś czas to mi starczało, piekłam z tego placki. Nie otrzymywałam, żadnej innej pomocy, ani od władz radzieckich ani polskich. Podobno przysługiwała mi pomoc z racji tego, że ojciec był w wojsku.

Po pewnym czasie, władze same zaczęły szukać i wywozić Polaków. Mnie zabierała P. Maikowa. Zajechali do mnie mówiąc gdzie będą nocowali i prosiła bym dołączyć do nich. Nocowali w Tyrugii. Musiałam wtedy podjąć trudną decyzję. Latać pisać do mnie bym nigdzie się nie ruszała, że przyjedzie pow. do ojciec i mnie zabierze. Poszłam po radę do Pradziela kołchozu i przedstawiłam mu swoją sytuację. że nie wiem co mam robić, czy mam jechać czy pozostać i tu czekać na ojca. Powiedział do mnie "Jedź dziecko, tobie nie będzie gorzej nigdzie niż tutaj jest. Gdzie być nie pojechała to ze swoimi ludzimi będziesz. Weź konia i zawiąż swoje rzeczy, przenocujesz tutaj ostatnią noc i rano pobiegiesz tam na pieszotę. Zrobiłam tak jak mi poradził, zawiozłam rzecz, przenocowałam w kołchozie, rano pobiegłam, bo to nie było daleko, przez las jakieś trzy km. Wiceli nas jeszcze dwa dni. do rzeki. Tam nie ma innej drogi jak tylko podróż statkiem. Nim dotarliśmy statkiem do Kotlasu. W Kotlasie załadowano nas do towarowychociągów. W czasie podróży xxxxxx mnie okradli, przepadły mi wszystkie rzeczy, dokumenty zdjęcie, tak, że nie wiedziałam nawet adresu ojca. Pamiętałam tylko numer jednostki. Zawięzli nas na Ukrainę w okolice Odessy. Tam już było coś innego. Nikt nas nie pilnował. Tam było ciepło. Tam dopiero wxxxx odżyliśmy. Były tam jabłka, pomidory, ogórki, tam wszystko rosło. Przeżywaliśmy tam przez 1 rok. Tam nie było zimy, tylko jakaś chłopa. Pracowaliśmy w ogrodzie i przy zbiorach winogron arbużów. Głodu tu już nie cierpieliśmy. "ożny było też ukraść trochę zboża z magazynu. P. Maikowa pracowała w kołchozie jako dojarka, przynosiła więc nam często mleko. P. Maikowa miała troje dzieci Halinkę, Stasia i Lilę. W kołchozie nie otrzymywaliśmy żadnej oficjalnej pomocy. Nikt się nami nie interesował do wyjazdu. O ZPP ani ja, ani rodziny mieszkające w pobliżu nie słyszyły nic do wyjazdu. Nie było szkoły polskiej. Była wprawdzie pewna pani, która dwa razy w tygodniu gromadziła nas w jakimś prywatnym mieszkaniu i próbowała nas uczyć. Była to nuka na kolonie, trochę pisaliśmy i czytaliśmy. Zawsze to jednak była coś,

Jak NKWD-dziści zaczęli nas zapisywać na podróż/nikomu nie powiedzieli dokąd mają nas zabrać/ nie chcieli mnie zapisać na tę listę. Mówili, że zabiorą xx mnie do domu dziecka z którym dopier pojadą do Polski. ponieważ nie miałam papierów. Ja prosiłam ich, aby mnie zabrali, zaczęłam płakać. P. Maikowa kazała mi płakać i powiedzieć NKWD, że i tak pojadą. Ponownie poszłam do NKWD, wtedy mnie zapisali. Wróciłam z rodziną Maików. Zawięzli nas na ziemię odzyskaną. Chciano mnie adoptować, lecz wysłałam na pamiętany numer jednostki telegram i ojciec mnie znalazł.

Na zachodzie dowano nam pomoc UNRROWSK-a